

## 11. WIGILIA W ADENIE

Dzień, w którym zesłaliśmy z kotwicowiska pod Great Hanish, zaczął się sukcesem: Andrzej Drapella złapał na wędkę dwa ogromne i jak się okazało pyszne tuńczyki. Postępy w żegludze były mniejsze, ale dzięki mozolnemu halsowaniu pod wiatr udało się zbliżyć do cieśniny, a następnego dnia, gdy wiatr nieco zelżał i fala usiadła, zamiast lekcji fizyki było zwijanie żagli, po czym na silniku powoli pokonałliśmy cieśninę. Była wigilia Wigilii Bożego Narodzenia. Wieczorem obchodziliśmy zaległe imieniny Darków, które zostały przegapione w natłoku ostatnich wydarzeń. Jak zwykle, były laurki od Kaczorów, życzenia i upominki: krawaty Bractwa Żelaznej Szekli oraz książki z pamiątkową dedykacją, a potem wspólne śpiewanie.

W wigilię nie było obiadu, natomiast przeprowadzono normalne lekcje, przy czym godzinę wychowawczą poświęcono wspomnieniom o świętach spędzonych przez niektórych członków kadry na morzu bądź na górskich wyprawach. Jacht zbliżał się do Adenu. Gorączkowo kończono trwające od kilku dni przygotowania do uroczystości wigilijnej. W klasie ubierano choinkę, ustawiano szopkę i przygotowywano prezenty. Wydobywano opłatki przysłane przez rodziny i przyjaciół. W mesie nakrywano do stołów. Wieczera miała się zacząć o siedemnastej trzydzieści, ale nieco się opóźniła. W końcu wszyscy, oprócz wachty nawigacyjnej, w galowych strojach zajęli miejsca. Kapitan złożył załodze życzenia i zaczął dzielić się z wszystkimi opłatkami. Poszliśmy w jego ślady i zrobiło się straszne zamieszanie. Można łatwo obliczyć, że jeśli pięćdziesiąt osób zacznie dzielić się wzajemnie opłatkiem i składać sobie życzenia, będzie to w sumie 1225 dwustronnych spotkań i jeśli nawet odbywały-

by się one w tempie dziesięć na minutę, to cała ceremonia zajęłaby ponad dwie godziny. Składanie życzeń trzeba było przerwać i wreszcie zasiąść do stołu.

Po wieczery wszyscy przenieśli się do klasy, w której stała choinka, sztuczna, bo sztuczna, ale pięknie przybrana tradycyjnymi świecidełkami zabranymi z Polski oraz muszlami i kawałkami koralu, symbolami egzotyki naszego rejsu. Rozdano upominki. Rodzice chłopców oddali je z myślą o gwiazdce na przechowanie do statkowego magazynu jeszcze w Gdyni. Potem śpiewano kolędy. Wyrzedzając „Pogorię” biegły w ciemną, podzwrotnikową noc, ku będącemu tuż, tuż Adenowi, a wśród nich ta jedyna w swoim rodzaju:

*...Lulajże, żeglarzu, lecz nie śpij długo,  
Czas wstawać na wachtę świtem, szarugą...  
Nie zwlekaj, żeglarzu, czekają reje  
Z wysoka zobaczysz, co wiatr przywieje.*

„Pogoria” weszła na tor wodny prowadzący do portu. Przyjeliśmy na pokład pilota. Był to młody, bosi chłopak, który w ogóle nie mówił po angielsku, ale doprowadził nas na miejsce. Stanęliśmy na kotwicy w Adenie jak inne statki. O dojściu do nabrzeża nie mogło być mowy — płytko.

Kończył się dzień pełen wrażeń i wszyscy udali się na spoczynek. Tylko niezmordowany Warek zauważywszy w porcie kilka statków handlowych i okrętów wojennych, zażądał zrzucenia pontonu i pognął po jakieś brakujące mu uszczelki. Tym razem miał pecha. Na statku płukali zbiorniki i spuścili mu brudną wodę prosto do pontonu, gdy podpłynął pod burtę. Cały mokry musiał zrezygnować z wizyty.

Gdy mocowaliśmy ponton, nagle po polsku odezwała się ukaefka. To witały nas „Katowice” tradycyjnym „wesołych

świąt” i szczęśliwego Nowego Roku”. O świecie opuszczali Aden i dlatego nie mogło dojść do bezpośredniego spotkania.

Na statku zapanowała cisza i tylko z tarasu piętrowego budynku, w pobliżu którego staliśmy, docierały na „Pogorię” odgłosy wesołej zabawy i kierowane do nas zachęcające okrzyki. Na domku zainstalowana była czerwona latarnia, dobrze znana marynarzom, chociaż nie figuruje w żadnym spisie światła.

W pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia, który w tym muzułmańskim kraju jest dniem powszednim, dreptałem nadbrzeżnymi uliczkami i szukałem kapitanatu portu, nie mogąc się nadziwić, jaka bieda wygląda z każdego kąta tego miasta, będącego jeszcze niedawno jedną z pereł Brytyjskiego Imperium. Miałem załatwić wszelkie formalności związane z postojem, pilotażem, zamówić wodę, paliwo i otrzymać port clearance, czyli świadectwo stwierdzające wywiązanie się statku z wszelkich zobowiązań i zezwalające mu na dalszą żeglugę.

Przyjął mnie oficer portu, kapitan Saeed Yafai, elegancko ubrany Arab w średnim wieku.

— Salem alejkum — powitałem go grzecznie.

— Alejkum es salaam — odpowiedział wskazując mi krzeszło.

— Szukran — podziękowałem i na tym w zasadzie skończyła się moja znajomość arabskiego wyniesiona z Libii, gdzie przebywałem przed laty, ale wiedziałem z doświadczenia, iż te kilka słów wypowiedzianych w ojczystym języku arabskiego rozmówcy, zanim przejdzie się na angielski, usposobi go życzliwie i pomoże załatwić sprawę.

Kapitan Saeed mówił doskonale po angielsku i prezentował europejskie maniery. W trakcie omawiania formalności zainteresował się jachtem, rejsem, „Szkołą pod żaglami”. Pytał o szczegóły, z niedowierzaniem kręcił głową. Pobyt

w kapitanacie przeciągał się i już zaczynałem się denerwować, że Krzysztof będzie miał do mnie pretensję za tak długą nieobecność na jachcie, co mnie zresztą nie minęło.

Efekt mej rozmowy w kapitanacie i krótkiej wizyty u prezesa przedsiębiorstwa naftowego był rewelacyjny: postój, woda, pilotaż i paliwo za darmo.

— Niech będzie to skromną cegiełką, jaką Jemen Południowy pragnie wnieść w realizację tej wspaniałej idei „Szkoły pod żaglami” — powiedział kapitan Saeed.

Wartość tej cegiełki wynosiła około pięciu tysięcy dolarów.

Drobną cząstkę zaciągniętego w Adenie długu wdzięczności zwrócił bosman Niemcom z kotwiczącego obok nas jachtu, zszywając im na maszynie porwane w sztormie żagle i odmawiając przyjęcia zapłaty, co ich niezmiernie zdziwiło. A przecież taka — wydaje się — powinna być zasada konstrukcji nierozzerwalnego łańcucha ludzi dobrej woli.

Jeszcze tego samego dnia wychodziliśmy w morze. Kaczory dostały dwugodzinną przepustkę, aby zwiedzić miasto, a właściwie tylko kilka jego ulic w pobliżu portu, bo centrum leży daleko i wysoko: w płytkiej niecce krateru wygasłego wulkanu, na którego zboczu rozłożył się port. Wróciły punktualnie, jak zwykle. Ze strzępów wymienionych wrażeń dowiedziałem się, że na ulicach jest bardzo dużo wojska, dogadać się po angielsku można tylko z przedstawicielami starszego pokolenia, że Jemen Południowy to demokracja ludowa, wśród cudzoziemców robiących zakupy często słyży się język rosyjski, a mydła toaletowe można wymienić łatwo na chińskie wieczne pióra. Ta ostatnia wiadomość była najbardziej bulwersująca. Oznaczała, że nie ustrześliśmy chłopców od zarazy drobnych handeleków. Ciekawe, kto ich tego nauczył? Przecież poza jednym czy dwoma wszyscy byli po raz pierwszy za granicą.

Do burty „Pogorii” dobiła motorówka z funkcjonariuszami policji, aby dokonać w uzgodnionym wcześniej terminie odprawy granicznej. Trzeba było jednak ich przeprosić i przesunąć odprawę. Nie było kompletu załogi. Andrzej Makacewicz spóźnił się, zresztą nie pierwszy i nie ostatni raz. Pełniącą wachtę Karmena wpisała do dziennika fakt i powód odwołania odprawy, co spowodowało, że wyraz twarzy kapitana wskazywał sztorm, chociaż wiatru nie było nawet na lekarstwo.

## 12. PRZECIW MONSUNOWI

Przez całą Zatokę Adeńską szliśmy na silniku. Monsun złapaliśmy dopiero po trzech dniach. Przyszedł z północnego wschodu, od razu osiągnął 7°B i począł stopniowo spychać nas ku południowi. Wielki Wóz zsunął się nisko nad widnokrąg, a z przeciwnej strony wyraźnie było już widać Krzyż Południa, który miał nam odtąd towarzyszyć przez najbliższe miesiące.

Rozcinane ostrym dziobem „Pogorii” wody Oceanu Indyjskiego kipiały życiem. Stada delfinów znaczyły tory swych podwodnych szlaków zielonymi smugami, a wyskakując nad wodę dawały pokazy zbiorowej akrobacji, demonstrowanej nierzadko przez 5—6 osobników w jednym, wyrównanym szeregu. Raz po raz wzbijały się ponad fale latające ryby i w panicznej ucieczce przed drapieżnikami szybowwały na odległość kilkudziesięciu i więcej metrów. Czasami widać było w oddali fontanny sygnalizujące obecność wielorybów. Na licznych wodorostach przesuwających się wzdłuż burt

wędrowały rozmaite ślimaki, a wśród wodorostów pływały duże, jasnobrązowe kraby. One właśnie stały się przyczyną niecodziennego wydarzenia...

## Człowiek za burtą

Wojtek — zapalony nauczyciel biologii — postanowił złowić kraba. Nic nikomu nie mówiąc, wziął plastikowy kubel, zszedł pod bukszpryt i usadowiwszy się na naprężających go do dołu łańcuchach, czekał na zdobycz. Gdy krab pojawił się w zasięgu ręki, Wojtek zagarnął go kubłem i natychmiast znalazł się w wodzie.

Gdyby Wojtek miał jakiekolwiek doświadczenie w pływaniu na małych jachtach, na których czerpanie wody kubłem w biegu zza burty jest codzienną czynnością, wiedziałby, jaki opór stawia kubel zanurzony w morzu, gdy jacht pędzi z prędkością kilku węzłów. Niestety cały swój żeglarski staż odbył na „Pogorii”, gdzie wodę do kubła nalewa się z kranu. Jednym słowem, silne szarpnięcie wrzuciło Wojtkę do wody, przy czym rozorał sobie jeszcze plecy o jakieś okucie. Zachował się jednak przytomnie: szybko odpłynął dość daleko w bok, by uniknąć uderzenia o kadłub i nie zaczepić o śrubę. Kubła też nie puścił.

Pełniłem wówczas wachtę na mostku, gdy usłyszałem nieartykułowany wrzask wydany przez stojącego na oku Maję, czyli Maćka Młodowicza, i zobaczyłem Wojtkę z kubłem w wodzie o pięć metrów od burty na wysokości want grotmasztu.

— Rzuć koło! — krzyknąłem do Mirka Lasoty, który stał bliżej koła niż ja. Koło z pławką świetlną poleciało za burtę. Wydałem komendę sternikowi odwiązując jednocześnie wysoką, łatwą do zauważenia na morzu tykę, zaopatrzoną

w pływak, ciężarek utrzymujący ją pionowo i chorągiewkę. Widziałem kątem oka, że Wojtek złapał koło. Gdy ciskałem tykę, Wojtek był już za rufą i zmierzał nieuchronnie w stronę holowanego z tyłu haka wędki, zdawał sobie jednak z tego sprawę i uniknął poważniejszego skaleczenia. Teraz mogłem skoczyć do przycisku dzwonka alarmowego.

Trzy długie dźwięki, każdy od czterech do sześciu sekund z jednosekundowymi przerwami. Policzcie, ile to trwa. Sytuacja w zasadzie nie była groźna. Dzień, brak wiatru i fali, ciepła woda, Wojtek przytomny, świetnie pływał, miał koło, a Mirek stał na nadbudówce i nie spuszczał z niego oka. Mimo to te kilkanaście sekund strasznie mi się dłużyło, chociaż jacht ich nie marnował, zataczając w tym czasie pierwszy odcinek powrotnej pętli.

Załoga wypadła na pokład. W dwóch słowach zameldowałem o tym, co się dzieje kapitanowi, który przejął dowodzenie. Ponton był już spuszczonej na wodę. Błyskawicznie włączyłem i sprawdziłem trzy ukaefki. Jedna na ponton, druga kapitanowi, trzecia dla Janka, który wspinał się na wanty bezana i przejął obserwację. Sześć minut po ogłoszeniu alarmu Wojtek był w pontonie, a kilka minut później już na pokładzie, gdzie czekała na niego z apteczką w ręku Karmena. Poza opatrzeniem rozcięcia na plecach pomoc lekarska nie była potrzebna. Wojtek był wprawdzie trochę zszokowany, ale usiłował nadrobić miną, choć przyznał się otwarcie, że palnął głupstwo. Kapitan ukarał go oficjalnie naganą za nieostrożność, a Kaczorem wyjaśnił, że tym razem alarm „człowiek za burtą” nie był alarmem ćwiczebnym, w czym nie wszyscy się zorientowali.

Nie przeszkadzało im to podkpiwać po cichu:

— Komandos wpadł do wody.

— Kogo tu trzeba bardziej pilnować — kadry czy Kaczorów?

Dyskusje na ten temat wygasły z początkiem wieczornej projekcji drugiej części „Ben Hura”, odtwarzanej z wideokasety Ansorgów. Pierwszą część oglądaliśmy poprzedniego dnia, czyli w pierwszy dzień Bożego Narodzenia.

Północno-wschodni monsun, jaki wieje w zimie nad północnymi obszarami Oceanu Indyjskiego, nie sprzyja żaglowcom zdążającym z Morza Czerwonego do Indii. Ich szlak, podpowiadany przez mapę oceanicznych dróg świata, wygina się łukiem ku południowi, wydłużając odległość o setki mil. Toteż nie wróżyono nam powodzenia. Jan Okulicz w numerze 49 „Sportowca” z 6.12.83 r. powołując się na słowa przedstawiciela Urzędu Morskiego, pisał:

*... na Pogorii wody zabraknie. Ten jacht nie ma tanków pitnych, zapas wody wynosi 40 ton, dzienne zużycie prawie 5 ton. Z Adenu do Bombaju przy niekorzystnym północno-wschodnim monsunie trzeba płynąć około miesiąca. Trzeba więc będzie wodę racjonować i w końcu zamknąć. Na deszczówkę nie ma co liczyć...*

Wbrew tym czarnym prorocztwom do Bombaju weszliśmy nie po miesiącu, lecz po szesnastu dniach żeglugi, a w zbiornikach mieliśmy jeszcze około pięciu ton wody, mimo że tegoroczny monsun kaprysił, co jeszcze bardziej wygięło ku południowi i wydłużyło łuk naszej trasy. Z tej wody korzystaliśmy jeszcze przez pierwsze dwie doby postoju w Bombaju, jakie upłynęły, zanim mogliśmy na nowo napełnić zbiorniki. Cud? Nie, po prostu dobra znajomość arytmetyki i nawigacji.

Woda oczywiście była racjonowana, ale nie drastycznie. Do celów kuchennych nie ograniczano jej w ogóle, natomiast do mycia można było korzystać ze słodkiej wody, nawet biorąc prysznic, dwa razy dziennie, w okresie jednej

godziny rano i wieczorem. Wachta kuchenna kąpała się codziennie, niezależnie od terminów otwarcia wody. Był nawet jeden taki dzień, w którym woda była otwarta cały czas. W ten sposób zużycie wody — normalnie sięgające pięciu ton dziennie — spadło przeciętnie poniżej dwóch ton bez powodowania odczuwalnych przykrości.

Zresztą umyć się można zupełnie przyzwoicie w litrze wody. Tak się złożyło, że na Oceanie Indyjskim i później w czasie powrotnej drogi przez Atlantyk, gdy jeszcze bardziej trzeba było oszczędzać wodę, zawsze miałem wachkę w czasie jednego z dwóch terminów otwarcia wody i radziłem sobie dość dobrze. Nawilżałem za pomocą gąbki całe ciało wodą z uprzednio napełnionej butelki, by móc się nałmydlić. Potem brałem orzeźwiający słony prysznic i znów słodką wodą zmywałem sól ze skóry. Woda z litrowej butelki wystarczyła jeszcze do umycia zębów.

Tymczasem na jachcie zawrzało! Czy stało się to na skutek niekorzystnego kierunku monsunu, zachęcającego do omińnięcia Indii i płynięcia wprost do Kolombo, czy spowodowały to egzotyczne opowieści Andrzej Drapelli o Chinach i pięknych dziewczętach z Bangkoku, czy kapitan lubiący, aby coś się działo, sprowokował załogę, a może pod wpływem wieści o wizycie „Daru Młodzieży” w dalekiej Japonii — nie wiem, ale wszyscy zaczęli dyskutować o zmianie trasy.

Początkowo traktowałem to jako zabawę i gdy kapitan polecił mi głośno przy obiedzie opracować różne warianty trasy, zrozumiałem to jako żart adresowany do ciekawskich Kaczorów, które zawsze pilnie wsłuchiwały się we wszystko, o czym mówiono przy kapitańskim stole. Odpowiedziałem „tak jest” i nie przyszło mi nawet do głowy, by zabrać się za tę robotę. Jednak nazajutrz kapitan upomniał się o wyliczenia, był bardzo zdziwiony, że ich nie zrobiłem i kazał polecenie traktować poważnie.

Zabrałem się zatem do pracy, rozkładając w nawigacyjnej atlasy, mapy pogody i szlaków oceanicznych, tabele odległości itd. Pierwszy Kaczor, który zerknął mi przez ramię i zobaczył jak studiuje róże wiatrów na Morzu Celebes, popędził z tą wiadomością do kubryku, gdzie ustalono niezbicie, że zmiana trasy jest pewna. Znalazło to swoje odbicie w listach do domu, które kilka dni później zabrał „Dar Młodzieży”, i w kraju również się zagotowało. Wynik mojej pracy wykluczał wszelkie możliwości odwiedzenia Chin, powrotu przez Kanał Panamski itd. Jako tako realną szansę z punktu widzenia korzystnych wiatrów i dwumiesięcznego spóźnienia miał jedynie wariant powrotu wokół Hornu z zawinięciem do Melbourne i na Falklandy lub do Rio, oczywiście abstrahując od płynących stąd dodatkowych zagrożeń. Gdy przedstawiłem swoje obliczenia kapitanowi oraz kadrze i gdy przeciekły one do kubryku, znów rozszalały się namiętności. Ankieta przeprowadzona wśród Kaczorów dała jednogłośnie wynik za Hornem, wśród kadry głosy były podzielone, mniej więcej po połowie. Wówczas kapitan, który chyba nie spodziewał się takiego obrotu sprawy, poprosił o lekcję wychowawczą, zrobił Kaczorom pranie mózgów i ponowił ankietę. Tym razem za Hornem opowiedziało się tylko kilku najbardziej odpornych.

Długo śmiano się potem z chłopców, że dają sobą manipulować i łatwo zmieniają zdanie.

— Kaczory kaphornery! — kpił z politowaniem Warek, ilekroć chłopcy wracali do tego tematu.

Sprawa Hornu przestała być aktualna i fale podniecenia opadły. Przysłumiły je inne wydarzenia. Dla kadry były nimi burzliwe zebrania, na których omawiano stan gospodarki finansowej i magazynowej, dla wszystkich Nowy Rok oraz spotkanie z „Darem Młodzieży”.

Moment, w którym noc zmieniała datę z 31 grudnia 1983 na



1 stycznia 1984, przypadł na „Pogorii” o pięć godzin wcześniej niż w Polsce. Załogę wyrzucił na pokład sygnał alarmu „do zagli”, przy czym odbyło się to bezboleśnie, gdyż o dwudziestej drugiej przesunięto na jachcie czas o dwie godziny do przodu w związku z przekroczeniem odpowiedniego południka i od razu zrobiła się północ. Nikt jeszcze nie spał, wszyscy wychylili po kieliszku szampana, najszybsi nawet po dwa, złożyliśmy sobie życzenia, a w morze poleciały przeterminowane petardy.

Pierwszy stycznia był dniem wolnym od lekcji. Kaczory wykorzystały go na... naukę własną. Ale nie tylko. Wieczorem dały pokaz chińskiego (wciąż te chińskie ciagoty!) teatru cieni i podszczypały trochę kadrę.

Tymczasem zbliżało się...

### Spotkanie z „Darem Młodzieży”

Już od kilku dni trwały obustronne próby nawiązania radiowego kontaktu między „Pogorią” a „Darem”. Uniemożliwiała je nasza słabiutka radiostacja. Dopiero drugiego stycznia wieczorem udało się Geografowi dogadać z radiooficerem „Daru”. Rozmawiali radiooficerowie, ale kapitanowie nie kwapili się do chwycenia za słuchawki, a z moich obliczeń wynikało, że się minimy. Aby doszło do spotkania, konieczna była zmiana kursu jednego lub obu statków w prawo. „Pogoria” zepchnięta przez monsun dalej na południe, niż być to powinno, nie mogła sobie pozwolić na odpadnięcie od wiatru. O zmianę kursu trzeba było prosić „Dar Młodzieży”.

W końcu Drapella się zdenerwował i wziął sprawę w swoje ręce. Dawno już powiedzieliśmy sobie z Andrzejem, że nie możemy zmarnować szansy takiego spotkania. Dwa najwię-

ksze polskie żaglowce — zaprojektowane przez tego samego konstruktora, zbudowane w tej samej stoczni — spotykają się daleko od Ojczyzny, na Oceanie Indyjskim, jeden wracając z wielkiego rejsu do Japonii, drugi w równie wielkim rejsie wokół Afryki. To przecież historyczne wydarzenie, którego nie znają annały dziejów polskiej żeglugi.

— Geograf! Dawaj słuchawkę! — ryknął tubalnym głosem Andrzej. A potem już spokojnie do mikrofonu: — Tu Drapella. Jest tam w pobliżu kapitan Olechnowicz?

— Nie, nie ma.

— To niech go pan poprosi.

— Już chyba śpi.

— Niech pan sprawdzi, bardzo proszę, i powie mu, że my nie możemy zmienić kursu, gdybyście wy natomiast zmienili kurs z 284 na 305 zachowując tę samą prędkość, to spotkamy się pojutrze rano.

Jeszcze chwila na sprawdzenie obliczeń i na „Darze Młodzieży” zaakceptowano naszą propozycję. Spotkanie nastąpiło 4 stycznia 1984 roku na pozycji 11°10'N i 68°35'E. Jeszcze przed śniadaniem zauważyliśmy zbliżającą się do nas znajomą sylwetkę. Rosła w oczach. Marzyliśmy o wymianie załóg, o tym, by spróbować, jak się chodzi po rejach fregaty, jednak dość silny wiatr i wysoka fala zniweczyły te marzenia. Komendant „Daru” nie zgodził się na opuszczenie w tych warunkach szalupy i nie zaakceptował propozycji wzajemnych wizyt za pomocą naszego pontonu. Zgodził się natomiast na wykorzystanie go w roli ambulansu pocztowego, z tym że poczta, zawierająca pamiątkowe pocztówki dla naszej załogi, miała być umieszczona na arkuszu styropianu czy innym pływadełku holowanym za rufą statku, skąd ponton miał ją odebrać i gdzie miał umieścić nasze przesyłki. Ale widać kapitan Olechnowicz słabo znał Drapelę.

— Dobrze, dobrze — mruknął pod nosem Andrzej. — Jak

podejdziemy pontonem pod burtę, to będą musieli spuścić trap, a potem zobaczymy.

Okazało się, że Drapella miał rację. Nasza delegacja wdarła się na pokład „Daru Młodzieży”, a ponton przywiózł stamtąd do nas ekipę dziennikarzy telewizyjnych. Ci zaś wzięli się za filmowanie. „Dar Młodzieży” pozując do zdjęć stawiał wszystkie żagle. Kapitanowie uzgadniali przez ukaefki wzajemne manewry, statki tańczyły wokół siebie, kameery warczały, trzaskały migawki aparatów.

Czas mijał szybko i wkrótce trzeba było się zegnać. Ekipa telewizyjna znów wbiła się w sztormiaki i pasy ratunkowe, schowała kamery do foliowych worków i powtórnie zaryzykowała przejażdżkę pontonem, który wracając zabrał naszą delegację. Przywiozła ona każdemu fotografię „Daru”. My też ofiarowaliśmy jego załodze różne drobiazgi oraz pocztówki z „Pogoria”, opatrzone specjalnym, okolicznościowym stemplem autorstwa Wojtka Przybyszewskiego, zamilowanego poczmistrza wyprawy. Wymieniono przez radio ostatnie pozdrowienia i statki ruszyły w drogę, każdy ku swemu przeznaczeniu. Przez nasze ukaefki długo jeszcze było słychać komendy wydawane na fregacie, która oskrzydliwszy się białymi płótnami nabierała prędkości i malała coraz bardziej, aż wreszcie roztopiła się w bezmiarze oceanu.

Tak wyglądała poezja spotkania. Po niej nastąpiła proza. Dwie kolejne wachty cały czas swej służby musiały poświęcić dosłownie karkołomnej gimnastyce na salingach grotmasztu, aby zdjąć galę flagową postawioną gwoili uczczenia spotkania, nieprawdopodobnie splątana z takielunkiem jachtu w wyniku licznych zwrotów na silnym wietrze. „Dar” gali nie rozplątywał, bo rozsądnie jej nie postawił.

Wejście do Bombaju poprzedził wielki bal kostiumowy z okazji rozpoczęcia piątego miesiąca rejsu. Kostiumy były zaskakujące. Na pokładzie pojawiły się nagle uroczne dziew-

częta, czyli Maja, Karol i Filip. Warek w pasiastej koszulce, z raketnicą za pasem i czapką opatrzoną napisem „Aurora” był kapitalnym komisarzem floty. Marek Stryjecki wystąpił jako Zulus, a w eleganckiej damie w długiej sukni, z torebką i innymi kobiecymi akcesoriami można było rozpoznać kapitana tylko po brodzie i wąsach.

Po emocjach balu przyszła kolej na dreszczyk emocji nawigacyjnych. Do brzegu było jeszcze daleko, a na ekranie radaru trzy mile przed dziobem pojawiła się długa prosta linia, kubek w kubek podobna do linii brzegowej. Sprawdziłem powtórnie pozycję, głębokość, odległość — wszystko się zgadzało oprócz tej linii, której tam być nie powinno. Duchy czy radar dostał halucynacji? Obserwacja przez lornetkę pozwoliła dojrzeć coś jakby drżące ogniki. W tej sytuacji wyciągnąłem na dek kapitana. On też nie umiał wyjaśnić tego zjawiska i wrócił do siebie. Na wszelki wypadek zmieniłem kurs, omijając nieznane niebezpieczeństwo. Z bliska okazało się, że to flotylla małych i prymitywnych rybackich łodzi łowiąca w równiutkim szeregu. Długa sieć była przywiązana co kilkanaście metrów do pionowej, obciążonej tyki z pływakiem, a niewielkie łódki przycumowane do tych tyk dryfowały powolutku tworząc prostą linię. Dawało to wszystko na ekranie radaru linię łudząco podobną do brzegowej. Podeszliśmy jeszcze bliżej. Na niektórych łodziach paliły się ogniska. Nie wiem, czy miały one przywabić ryby, czy służyły jako światła nawigacyjne, czy też po prostu gotowano na nich strawę.

Zachowując odległość zaledwie kilka metrów, minęło nas jeszcze kilka łodzi żeglujących półwiatrem wzdłuż rozstawionych sieci. W migotliwym świetle płonących na łodziach ognisk widać było malownicze, półnagie postacie w przepaskach na biodrach. Cienie marynarzy tańczyły na nieprawdopodobnie połączonych żaglach.

Złożyliśmy też wizytę w Muzeum Gandhiego. Podejmo-  
wało nas tam bardzo serdecznie grono ludzi, którzy razem  
z nim walczyli o wyzwolenie Indii. Sposób ekspozycji jest  
dość oryginalny. Poza pokojem, w którym mieszkał Gandhi,  
ogromnym zbiorem książek o nim i eksponatami, jak zdjęcia  
czy prasa z historycznymi już dziś artykułami, jego życie  
i działalność przedstawiono za pomocą kilkudziesięciu sta-  
tycznych miniaturowych scen z figurkami ludzi, co w jakimś  
sensie przypominało naszą szopkę, domki dla lalek czy  
nieruchome fragmenty kukiełkowych przedstawień. Być  
może, ta forma popularyzacji życia i idei Gandhiego, uzupeł-  
niana zresztą komentarzem muzealnego przewodnika, jest  
najwłaściwsza w kraju, w którym wielu obywateli nie umie  
czytać.

Podczas gdy Kaczory chłonęły jeszcze inne atrakcje, jak  
niezapomniany pokaz tańców hinduskich w Instytucie Tań-  
ca, demonstrowany przez dziewczęta o egzotycznej urodzie,  
czy przegrywały sromotnie regaty z korpusem morskich  
kadetów rozgrywane na małych, mieczowych łódkach, kie-  
rownictwo wyprawy w towarzystwie polskiego ambasadora  
i konsula składało oficjalne wizyty premierowi i gubernato-  
rowi stanu Makarasztra, w obrębie którego leży Bombaj.  
Stan ten jest kilkakrotnie większy od Polski pod względem  
powierzchni i liczby ludności, wizyta u gubernatora była  
więc na miarę wizyty u głowy europejskiego państwa.  
Staraliśmy się załatwić przy tej okazji zezwolenie na zawi-  
nięcie do innych portów Indii, na lądową wycieczkę Kaczo-  
rów do Goa i zwolnienie od opłat portowych, które wynosiły  
ponad tysiąc dolarów. Być może, wszystko to by się udało,  
ale w Indiach dobre chęci najwyższych władz od zarządzeń  
wykonawczych dzieli zbyt długi czas. Nie mogliśmy czekać  
tak długo na rezultaty rozmów i w efekcie poszły one na  
marne.

Zresztą, trudno było liczyć na ulgi finansowe. Indie to  
biedny kraj, który sam potrzebuje pomocy. Zdawaliśmy  
sobie z tego sprawę przywożąc z Polski półtonowy ładunek  
lekarstw, mydła, zeszytów itd. Dar ten — zebrany przez  
działającą w Polsce charytatywną organizację pomocy In-  
diom — został z wdzięcznością przyjęty przez kierownictwo  
jednego z domów dziecka w Bombaju.

W życzliwość gubernatora należało jednak wierzyć. Dał jej  
wyraz między innymi zapraszając całą załogę na garden-  
-party do swej prywatnej rezydencji. Była prasa, fotorepor-  
terzy, hinduskie specjały, mleko kokosowe i znów piękne  
dziewczęta jednej ze szkół, tańczące na naszą cześć. Wnętrze  
rezydencji, po którym oprowadziła nas bardzo miła i bezpo-  
średnia gubernatorowa, przypominało raczej muzeum sztu-  
ki niż dom mieszkalny, a tłumy bezszelestnie poruszającej  
się służby w kolorowych turbanach w porównaniu z nędzą  
koczujących wprost na ulicach ludzi nasuwały nieodpartą,  
choć może powierzchowną refleksję, że niewiele tu się  
zmieniło od czasów maharadzów. Pewnym zaprzeczeniem  
tego ostatniego stwierdzenia było to, co zobaczyliśmy zwie-  
dzając...

### Zespół Szkół Godreja

Godrej to nazwa ogromnego kombinatu przemysłowego,  
a jednocześnie nazwisko jego właścicieli, trzech braci, któ-  
rzy dbając o produkcję nie zapominają o szkołach dla dzieci  
swych pracowników. Powitano nas nie chlebem i solą, ale  
słodkimi ciasteczkami w formie kulek, o smaku identycz-  
nym jak nasze sezamki.

— Niech słowa twoje będą zawsze tak słodkie, jak to  
ciastko — powtarzały każdemu z nas dziewczęta ubrane



w piękne sari, malując nam jednocześnie na czołach kropkę, tak charakterystyczną dla hinduskich kobiet. Jak się później dowiedzieliśmy, ten rodzaj powitania wynikał z rytuału jakiegoś święta, które akurat przypadało w dniu naszej wizyty. Podzielono nas na małe grupki i każda z nich zasiadła w szkolnych ławkach innej klasy razem z miejscowymi uczniami, by wziąć udział w niezwykle interesującej, specjalnie z myślą o nas przygotowanej lekcji na temat kultury i wierzeń religijnych Indii. W ciągu 45 minut wyjaśniono nam między innymi zasady głównych pozachrześci-jańskich religii występujących w Indiach, a dzieci pokazały nam, jak modlą się wyznawcy hinduizmu, Buddy, islamu i czciciele ognia. Później zwiedziliśmy pracownię szkolne, obejrzelśmy pokazy gimnastyczne i taneczne, byliśmy we wzorowo prowadzonym przedszkolu, a nasi chłopcy wzięli udział w zawodach odbywających się właśnie na szkolnym stadionie. Podziwialiśmy też przemyślną architekturę szkolnego teatru, dostosowaną do obu pór roku występujących w Indiach: dżdżystej i suchej. Dwustronną scenę teatru usytuowano między dwiema widowniami: jedna z nich była pod dachem, druga na wolnym powietrzu. Ciekawe, teatr w szkole będącej czymś w rodzaju liceum zawodowego, przygotowującego przyszłych robotników fabryki, liceum zawodowego, którego dyrektor jest humanistą publikującym wiersze i eseje.

Pokazano nam przyszłe miejsca pracy uczniów — hale kombinatu produkującego mydło, proszki do prania, lodówki, zamki, kłódki i kto wie, co jeszcze. Widzieliśmy osiedla mieszkaniowe dla pracowników, ośrodek zdrowia, stołówkę na kilka tysięcy osób, w której posiłki są dotowane w sześćdziesięciu procentach przez fabrykę. Podczas lunchu mieliśmy okazję skosztowania typowych indyjskich potraw z tej stołówki (w towarzystwie żony i córki jednego z właścicieli

kombinatu). Na tle niewiarygodnej nędzy wielkiego Bombaju można chyba kombinat braci Godrej i jego socjalne zdobycze określić mianem prywatnego socjalizmu albo kapitalizmu z ludzką twarzą.

Uczniowie i grono pedagogiczne szkół Godreja z ich dyrektorem, panem P. K. Madanem na czele, rewizytowali nas na „Pogorii”. Ściślej mówiąc, była to tylko reprezentacja uczniów i nauczycieli, bo gdyby przyszli wszyscy, „Pogoria” zatonąłaby pod ich ciężarem. Kombinat Godreja zatrudnia przecież tysiące robotników, których dzieci chodzą do tej szkoły.

Jachtem i naszym eksperymentem byli zachwyceni. Dyrektor Madan zwierzył mi się, że podoba mu się nasz pomysł i wykorzysta go organizując każdego roku jedną wędrującą klasę po lądzie.

— Indie są krajem tak zróżnicowanym, zamieszkałym przez wiele narodów mówiących różnymi językami i wyznających odrębne religie — powiedział. — Dobrze by było, gdyby nasi uczniowie wędrując od miasta do miasta, z jednego stanu do drugiego, mogli zatrzymywać się na kilka dni w szkołach leżących na trasie podróży i tam uczyć się, poznając jednocześnie swój kraj, jego ludzi, obyczaje, problemy.

Jeżeli plany te zostaną zrealizowane, będzie to jeszcze jeden sukces „Szkół pod żaglami”, tym miłszy, że nieplanowany.

Jedno z sympatyczniejszych wspomnień z Bombaju kojarzy się z uroczym wieczorem, jaki spędziliśmy na cumującej niedaleko za nami m/s „Wiślicy”. Udaliśmy się tam gromadą, idąc przez port i obserwując pracę, nieustającą również w nocy. Półnaczy, wychudzeni dokerzy wyładowywali ręcznie ciężkie skrzynie przywiezione na starych, pamiętających



jeszcze chyba ostatnią wojnę, ale bajecznie kolorowych ciężarówkach. Nowoczesne dźwigi przenosiły czterdziestopowowe kontenery, w ogromnych suchych dokach remontowano oceaniczne kolosy, a na stosach worków ze zbożem twardo spali bezdomni robotnicy pierwszej zmiany. Jeszcze kilka kroków, jeszcze trzy pryskające spod nóg szczury, długi trap i tak, jak byśmy nagle znaleźli się w Polsce. Sympatyczni, gościnni gospodarze, ten sam język, dosłownie i w przenośni, i długie, nocne rodaków rozmowy. Kaczory pożarły bez zmruczenia oka drugą kolację, obejrzały film w statkowym kinie, a w podzięce dały koncert pogoriowych piosenek. I nieoczekiwana refleksja: jakież ten świat jest mały! Okazało się, że starszy mechanik „Wiślicy” jest wujem naszego Grzesia Krawczyka.

Inną sympatyczną imprezą był pożegnalny koktajl wydany dla całej załogi „Pogorii” i jej przyjaciół przez agenta PLO pana Khemkę. Wziął w nim udział ambasador Ryszard Fijałkowski oraz pracownicy polskiego konsulatu w Bombaju z rodzinami. W czasie naszego pobytu w Indiach ludzie ci poświęcili nam wiele swego czasu, a śliczna Ania Adamska, córka wicekonsula wraz ze swą przyjaciółką, też Anią, służyły nam codziennie jako przewodniczki i tłumaczki.

Na przyjęciu było kilka liczących się w Bombaju osobistości. Wśród nich wysoki urzędnik władz żeglugowych, kapitan żeglugi wielkiej. Kapitan Dżil należał do sekty Sikhów, bardzo wpływowej w Indiach, która skupia przede wszystkim inteligencję. Głównym ośrodkiem kultu religijnego Sikhów jest Złota Świątynia w Amritsarze, w której już po naszym powrocie do kraju doszło do poważnych starć na tle separatystycznych żądań tej sekty. W rozruchach zginęło około sześciuset osób, a dalszym ich następstwem było zamordowanie Indiry Gandhi.

Dżil był wysokim, postawnym mężczyzną koło sześćdzie-

siątki. Zgodnie z obyczajami Sikhów nigdy nie strzygł włosów i nie golił zarostu. Brodę i wąsy nosił... w siatce przemyślnie przyciśniętej do brody i przymocowanej do turbanu, pod którym chował pewnie imponującej długości włosy. Dżil był już uprzednio kilkakrotnie na „Pogorii” i bardzo interesował się naszym eksperymentem. Obiecywał uzyskać dla nas zezwolenie na wejście do Goa i zaprosił oficerów do złożenia mu wizyty, ale później zmieniał dwukrotnie termin, a w końcu ograniczył liczbę zaproszonych do trzech osób. Krzysztof obraził się i na spotkanie nie poszliśmy. Do dziś nie wiem, czy nie znając tamtejszych obyczajów nie postąpiliśmy zbyt pochopnie. A może w ten sposób zaprzepaściliśmy szansę zobaczenia Indii od środka i zawinięcia do Goa?

Ostatni wieczór w Bombaju zamierzałem poświęcić obejrzeniu przedstawienia teatralnego dla dokerów, na które zaprosił mnie jeden z nich. Wybrałem się z naszym kukiem — Arnim. W pustej hali magazynu obok przygotowanej sceny ustawiono coś w rodzaju ołtarza, na którym stało kilka posągów hinduskich bóstw. Wśród nich rozpoznałem jedynie Ganeszę, mającego postać człowieka z głową słonia. Było to chyba jakieś święto, bo wszyscy zgromadzeni otrzymywali w maleńkich, przemyślnie splecionych z liści miseczkach odrobinę słodkiej kaszy, którą jedli, bijąc pokłony przed ołtarzem. Nam też wręczono ten symboliczny posiłek, nie pozostawiało więc nic innego, jak zjeść go kłaniając się indyjskim bogom. Przedstawienia nie doczekaliśmy się, bo najpierw odbył się wiec z niesłychanie długimi i gniewnymi wystąpieniami przedstawicieli dokerów. Nic z tego nie rozumieliśmy, a obowiązki wzywały nas na statek.

Rankiem, w niedzielę 15 stycznia opuszczaliśmy Bombaj, wyprzedzając cicho sunące z ładunkiem cegieł i soli niewiel-

kie statki o łacińskich żaglach. U wyjścia z portu natknęliśmy się na ogromnego, martwego wieloryba, który popychany lekkim wiatrem płynął w przeciwnym kierunku. Po kilkunastu minutach wykręciliśmy na południe, stawiając szesnaście spośród siedemnastu żagli, jakie można rozpiąć na masztach „Pogorii”, i przy pełnym wietrze pożeglowaliśmy w stronę Cejlonu.

Płynęliśmy teraz ze zwiększoną załogą, bo dołączyło do nas aż pięć małżonek naszych kolegów: Barbara Bolewska, Mirosława Choińska, Anna Kawęczyńska, Małgorzata Przybyszewska i Wanda Stryjecka. Basia jako sternik morski i zamiłowana żeglarka objęła stanowisko asystenta II wachty, zwolnione przez Wolfganga Ansorge, który w Bombaju kończąc swoją przygodę z „Pogorią”, zaprosił oficerów na kolację do eleganckiej restauracji, a potem odleciał pilnować interesów swojej firmy. Ponadto Ania odciążyla częściowo Arnego od jego obowiązków szefa kuchni.

Razem z paniami zaokrętował...

## Janusz Cieliszak

Miał brać udział w całej wyprawie jako kierownik ekipy telewizyjnej oraz reżyser i od momentu włączenia go w skład kadry aktywnie uczestniczył w organizacji rejsu. Pech chciał, że na dwa miesiące przed wypłynięciem poważny wypadek samochodowy zdecydował, że zamiast na listę załogi wpisano Janusza na listę pacjentów oddziału ortopedycznego jednego z warszawskich szpitali.

Po opuszczeniu szpitala unieruchomiony i przykut do fotela działał dalej dyżurując non stop przy telefonie. Pełnił nieocenioną w ostatnich, gorących dniach przygotowań rolę składnicy meldunkowej i załatwiał przez telefon mnóstwo

spraw. Gdy rejs już się rozpoczął, wracający powoli do zdrowia Janusz został ku swemu zaskoczeniu praktycznie jedynym człowiekiem z całego organizacyjnego teamu, który w kraju powinien czuwać nad interesami wyprawy. Do Bombaju przyjechał w specjalnym gorsecie, ale szybko się go pozbył, a świeże powietrze, słońce, dobre wyżywienie i sam fakt udziału w rejsie okazały się najlepszymi lekarzami. W piorunującym tempie wracał do formy i trzeba było go dobrze pilnować, by nie brał się do wybierania lin, bo na to jeszcze nie powinien był sobie pozwalać. Po pierwszym okresie adaptacji począł pełnić funkcję asystenta nawigacyjnego, najpierw u Karmeny, a w końcowej fazie rejsu u mnie. Ze współpracy z Januszem byłem bardzo zadowolony. Okazał się też znakomitym oficerem kambuzowym. Podczas jego dyżuru\* posiłki serwowano z elegancją nie spotykaną nawet w restauracjach kategorii „S”. Oczywiście głównym jego zajęciem była działalność filmowa.

Janusz miał dwie wady. Pierwszą było za dobre wychowanie, które ludzie nie mający pojęcia o właściwych manierach lub stykający się zbyt często z brutalnym zachowaniem z reguły biorą fałszywie za objaw słabości. Tak to, niestety, odbierały i niektóre Kaczory, usiłując wejść na głowę Januszowi, a on nie umiał huknąć pięścią w stół. Czasami, gdy zauważyłem, że jest w tarapatach, robiłem to za niego. Świetnie natomiast radził sobie z ciemnoskórymi tragarzami, robotnikami czy oficjelami, czym zyskał sobie przydomek Wielki Biały Człowiek.

---

\* Funkcję oficera kambuzowego pełnili kolejno asystenci, a początkowo również oficerowie, chociaż obowiązki te powinny należeć do intendenta, zwłaszcza w okresach, gdy nie był zatrudniany lub można było nie zatrudniać go na pokładzie

Drugą wadą Janusza było mówienie prawdy prosto w oczy, bez względu na hierarchię. Tu pomóc mu nie mogłem, gdyż sam zwykłem robić to samo. Toteż cenilem sobie, gdy i mnie wygarniał, co myśli i w efekcie dobrze mi się z nim pływało.

Po wyjeździe Janusza z kraju jego obowiązki spadły na barki mamy Mirka Lasoty, co dla niej samej było niespodzianką. Przypadkiem czy z premedytacją ktoś kogoś skierował do niej, podając telefon i zapewniając, że tam właśnie uzyska informacje o rejsie i załatwi związane z nim sprawy. Uczynna pani Alina Lasotowa, której zawdzięczaliśmy też wysyłkę na m/s „Konin” kontenera z żywnością, nie odmówiła pomocy, a dalej wszystko potoczyło się już samo, na zasadzie wyładowania lawinowego, które wciągnęło ją w orbitę rejsu i nie wypuściło do końca.

#### 14. OCZY DZIEWCZĄT Z KOŁOMBO

Kilkudniowy przelot z Bombaju na Cejlon urozmaicały nam spotkania z maleńkimi żeglugowymi dłubankami, których całe flotyle zapuszczały się daleko w morze w pogoni za rybą. Nocą splotkiwały nas tropikalne ulewy sygnalizowane wieczornymi błyskawicami, a w dzień prażyło słońce. Temperatura powietrza osiągała w cieniu plus 35°C, temperatura wody plus 31°C. Wiatr sprzyjał i tylko rdza żarła statek, aż chrzęściło. Walkę z nią zaczęliśmy przegrywać, dlatego też korzystając ze sprzyjającej pogody, rzuciliśmy załogę do konserwacji jachtu. Było to potrzebne nie tylko stalowemu kadłubowi żaglowca, ale i Kaczorom, wśród których dyscyplina zaczęła się chwiać, a koleżeństwo kuleć.

Byłem zaskoczony, gdy w Bombaju pierwsza wachta, bardzo dotąd zgrana, wykorzystała lukę w nieprecyzyjnym zarządzaniu starszego wachty (w końcu ich kolegi, którego lubili) i powędrowała do miasta, zostawiając go samego na służbie bez zmiany. Praca była dobrym lekarstwem na takie postawy.

W główkach portu Kolombo powitał nas ryk okrętowej syreny. To kotwiczący w głębi portu m/s „Andrzej Strug” pozdrawiał „Pogorię”. Z członkami jego załogi przegadaliśmy później niejedną godzinę.

Zacumowaliśmy. Poza sprawami związanymi z odprawą graniczną oraz pogadanką o Cejlonie wygłoszoną przez opiekującego się nami przedstawiciela PLO pana Zabiełkę, nic się nie działo. Podobnie było nazajutrz, gdy wszyscy wolni od służby poszli indywidualnie zwiedzać miasto, stolicę państwa noszącego oficjalnie nazwę...

#### Sri Lanka, czyli Lśniąca Kraina

Już na pierwszy rzut oka widać różnicę między Indiami a Cejlonem. Poziom życia wydaje się być tu wyższy, rzadko spotyka się objawy nędzy, prawie brak żebraków, nie widać rodzin koczujących na ulicach. Przedstawicielka władz oświatowych, z którą później miałem okazję rozmawiać, tłumaczyła to tym, że większość mieszkańców Cejlonu wyznaje buddyzm, nie zalecający cierpiętniczych postaw w przeciwieństwie do hinduizmu, głoszącego ideę poddania się losowi i nie dopingującego do starań o jego poprawę. Mimo to do dobrobytu tu daleko, a państwo jako całość stanowi daleko mniejszy potencjał gospodarczy niż potężne Indie, z którymi wiele je łączy.

Zgodnie z dawnymi kronikami pierwszym królem zamie-



szkujących Cejlon Syngalezów został w VI wieku przed naszą erą indyjski książę Vijay, przybyły na wyspę gdzieś z doliny Gangesu. Państwo rozwijało się pomyślnie przez dwa tysiąclecia, osiągając wysoki poziom kultury. Świadczyć o tym mogą imponujące zabytki. W 1505 roku na wybrzeżach wyspy usadowili się Portugalczycy, wyparci w połowie tego samego wieku przez Holendrów. Tych z kolei zastąpili Anglicy, anektując w 1796 roku holenderskie posiadłości początkowo jako podległość Madrasu, a od 1802 roku jako niezależną od Indii kolonię. Przez ten cały czas w głębi wyspy istniało niezależne królestwo ze stolicą w Kandy, zaciekle broniące swej niepodległości. Nie zdołali jej odebrać ani Portugalczycy, ani Holendrzy i dopiero Anglicy podporządkowali sobie całą wyspę, zsyłając ostatniego jej króla w połowie XIX w. na Madagaskar, gdzie zmarł. Zachowany tron władcy jest obecnie jednym z najcenniejszych eksponatów Muzeum Narodowego w Kolombo.

W 1948 r. Cejlon uzyskał pewną niezależność, stając się członkiem Brytyjskiej Wspólnoty Narodów, a od 1972 roku jest niepodległym państwem. Ludność Cejlonu liczy ponad 12,5 miliona mieszkańców. Większość to miejscowi Syngalezi, ale wśród nich żyje około 2,5 miliona Tamilów, będących potomkami imigrantów z Indii, sprawadzonych tutaj w czasie panowania Anglików. Tamilowie utrzymują żywe kontakty z pięćdziesięcioma milionami swych pobratymców, zamieszkujących stan Tamil Nadu w południowych Indiach. W ostatnich latach wśród cejlońskich Tamilów nasiliły się ruchy separatystyczne, dążące do utworzenia na północnym skrawku wyspy niezależnego państwa Elaam. Ekstremiści tamilscy powołali terrorystyczną organizację „Tamilskie Tygrysy”, w odpowiedzi na co pojawiły się „Syngaleskie Lwy”. Wynikiem akcji prowadzonych przez te organizacje były poważne rozruchy. Ich skutki — zgłiszcza domów

należących do tamilskich rodzin — mogliśmy oglądać na własne oczy. „Tamilskie Tygrysy” zorganizowały regularną partyzantkę, rząd prowadzi akcje pacyfikacyjne z pomocą wojska — i tak toczy się ta niepotrzebna wojna. Prowadzący ją ekstremiści nie mają poparcia wśród większości Tamilów, żyjących od dziesięcioleci w zgodzie z Syngalezami, ani w rządzie Indii, który chociaż naciskany przez rodzimych Tamilów domagających się interwencji na Cejlonie, uznał rozruchy za wewnętrzną sprawę Sri Lanki. Również główna partia Tamilów, Zjednoczony Front Wyzwolenia Tamilów, która podczas wyborów w roku 1977 wysuwała hasła daleko posuniętej autonomii, obecnie dąży do kompromisu z rządem. Oby do tego doszło.

Wieczorem Andrzej Drapella wydał przyjęcie w chińskiej restauracji. A była ku temu okazja. Kaczory otrzymywały za zachowanie plusy lub minusy. Trzy minusy oznaczały zakaz wyjścia do miasta, trzy plusy — kolację na koszt „starszego nad kubrykiem”. Pułap trzech plusów udało się osiągnąć Markowi Gatzowi, ale Andrzej lubił liczne towarzystwo i zaprosił jeszcze kilku innych chłopców, których postawa mu się podobała, m.in. bliźniaków Malickich, zwanych Kargulami, Sergiusza Nawrockiego i Darka Turkowicza. Nie wiem, czy też się czymś wyróżniłem, czy było to zwykłe kumoterstwo, ale znalazłem się wśród zaproszonych. Wyszliśmy z Andrzejem wcześniej, by przejść się po mieście i wybrać odpowiedni lokal, a z Kaczorami umówiliśmy się pod wieżą zegarową.

— Anglicy zakładając kolonię, zawsze na początku budowali clock tower — wyjaśniał Andrzej — by tym łatwiej wyrabiać w tubylcach nawyk punktualności. W Kolombo też jest wieża zegarowa i tam się spotkamy — powiedział Kaczorom.



Spacerowaliśmy kilka godzin po mieście, znaleźliśmy bez trudu wieżę z czterema zegarami widocznymi z każdej strony świata i Andrzej przystąpił do wyboru restauracji. Metodę miał prostą. Wchodził do chińskiej restauracji i kazał sobie pokazać kucharza. Gdy kucharz nie był Chińczykiem, Andrzej wychodził z obrzydzeniem. Wreszcie trafiliśmy na lokal, gdzie kucharzem był autentyczny Chińczyk. Andrzej przeegzaminował go jeszcze ustalając menu i zdecydował, że tu będziemy biesiadować.

O umówionej godzinie poszliśmy pod wieżę. Chłopców ani śladu. Czekamy kwadrans i dłużej — bez skutku. W końcu przypomniał sobie, że widzieliśmy w mieście jeszcze jedną wieżę z zegarem, ale dużo mniej reprezentacyjną. Może tam czekają chłopaki? Czekali. Trochę głodne i złe, trochę kpiące z naszej lądowej nawigacji, bo jak się okazało, sprawdziły przed wyjściem położenie wieży na mapie, a na dodatek był na niej napis: Clock Tower i to ona była oficjalną Wieżą Zegarową. Humory jednak szybko się im poprawiły. Egzotyczne potrawy błyskawicznie znikwały z półmisek, mimo że jedynymi sztucami były drewniane pałeczki, trzymane w ręku po raz pierwszy w życiu.

Nazajutrz pobudka o 3.15 i zaraz po niej wyjazd dwoma mikrobusami w głąb wyspy. Po drodze podziwialiśmy jej piękną, bujną przyrodę, pola ryżowe, orane drewnianymi sochami ciągniętymi przez woły, sympatycznych, życzliwych ludzi. Po kilku godzinach dotarliśmy do Sigirii, gdzie na szczycie ogromnej skały — przypominającej kształtem gigantycznych rozmiarów otoczek rzucony w dżunglę i górujący nad okolicą — znajdowały się szczątki królewskiego pałacu z V wieku naszej ery. Na górę można było się dostać, jak przed wiekami, jedynie po zawieszonych na jej ścianach schodach. Kiedyś król korzystał z... windy, dziś jej już nie ma. U podnóża skały rozciągały się wspaniałe ogrody,

baseny kąpielowe i mieściły się pomieszczenia gospodarcze. U góry też były baseny, a freski zachowane w niewielkiej niszy skalnej przedstawiające piękne damy dworu w stroju topless i zachęcające wdrapujących się po schodach do chwili wypoczynku, świadczą o wysokim poziomie sztuki dawnego Cejlonu oraz o wyrafinowanym smaku władców. I pomyśleć, że nasi przodkowie w tych czasach mieszkali jeszcze w kurnych chatkach.

Drugim etapem wycieczki była skalna świątynia w Dambuli, podobno z I wieku przed naszą erą. Zdumienie budzą ogromne posągi Buddy, wykute z jednej skalnej bryły, tworzące monolit z wnętrzem świątyni. Na dziedzińcu roje małp i nieprawdopodobnie rozgrzane słońcem kamienne płyty podłogi, a wstęp bez butów. Po kilku krokach, coraz szybszych zresztą, wróciłem po skarpetki, aby nie poparzyć stóp.

Ukoronowaniem wycieczki miało być safari: dzikie słońce, leopardy, niedźwiedzie. Można je oglądać wjeżdżając do rezerwatu Wilpatu specjalnie opancerzonym autobusem. Można, ale pod warunkiem, że wycieczka się nie spóźni. Musieliśmy obejść się smakiem. Za to kierowca naszego mikrobusu i jego pomocnicy dali pokaz zażywania opium nie przerywając jazdy.

Następne dni były również atrakcyjne. Reprezentacja „Pogorii” rozegrała mecz siatkówki z drużyną policji portowej, przegrywając z kretesem, ale wygrała w koszykówkę z reprezentacją miejscowej szkoły. UNESCO zafundowało nam wycieczkę do Kandy, dawnej stolicy Cejlonu, bogatej w liczne zabytki. Odwiedziliśmy też Muzeum Narodowe w Kolombo. Niektóre jego sale zwiedzaliśmy... po ciemku, bo w ciągu dnia na kilka godzin wyłączają tu energię elektryczną. Powód jest prosty: oszczędność wody. Tak, wody. Okazuje się, że dziewięćdziesiąt procent energii

elektrycznej Cejlonu pochodzi z elektrowni wodnych. W okresie suszy zbiorniki retencyjne zapełniają się powoli i trzeba na kilka godzin dziennie zatrzymywać wypływ wody poruszającej turbiny.

W przewidzianym dla nas programie były też wizyty w dwóch szkołach: męskiej i żeńskiej. Przygotowano tam specjalnie z okazji naszego pobytu pokazy strojów ludowych, tańców oraz zorganizowano koncert muzyki cejlońskiej. Zrewanżowaliśmy się polskimi piosenkami, przy czym śpiewaliśmy je przy akompaniamencie nie znanych nam cejlońskich instrumentów szkolnej orkiestry, która bezbłędnie podchwyciła rytm i melodie naszych piosenek. Chłopcy długo jeszcze wspominali te wizyty, zwłaszcza tę w żeńskiej szkole. Nic dziwnego, powitano nas tam girlandami pięknych kwiatów o upojnym zapachu, które każdemu zawieszały na szyi prześliczne dziewczęta. Zupełnie innej wymowy nabrały odtąd słowa znanej piosenki, tak często śpiewanej przez żeglarzy:

*„Oczy dziewcząt z Kolombo  
Są przepastne jak noce  
Czarne, bezgwiazdne noce  
Nad zatoką Ling-Tong”.*

Sześciodniowy pobyt w gościnnym Kolombo zleciał jak z bicia strzelił. Ostatniego wieczoru zwiedziliśmy radziecki kontenerowiec i obejrzelśmy na nim film. Chłopcy pertraktowali z załogą radzieckiego pasażera w sprawie meczu w siatkówkę, na który zabrakło w końcu czasu, bo trzeba było odpływać.

„Pogoria” rozpoczęła powrotny odcinek swej podróży.

Płynęliśmy znów w zmienionych składach. Na Cejlonie pozostały wszystkie żony, oprócz Ani Kawęczyńskiej, która

w dalszym ciągu wyręczała niedysponowanego kuka. Z małżonkami pozostali mężowie urlopowani na kilka dni z jachtu, mieli nas dogonić samolotem. Pożegnaliśmy się też z dwoma Kangurami, Michasiem i Adasiem, którzy musieli wracać do szkoły. Na ich miejsce zaokrętowała Mira Meysztowicz, mama naszego „stałego” Kangura Szymka, z najmłodszym synem Edziem. Płynęło jeszcze kilka osób, a wśród nich...

### **Bolesław Baranowski**

Senior Baranowski, starszy, elegancki pan o nienaganych manierach mieszka w Stanach Zjednoczonych. Interesy zagnały go akurat w te strony, gdzie żeglowała „Pogoria”, postanowił więc połączyć przyjemne z pożytecznym i chcąc spędzić z Krzysztofem kilka dni, zabukował miejsce na jachcie, płacąc za nie w dewizach, podobnie jak inni goście. Łatwo się domyślić, że syna nie widział od wielu lat. Ich przywitanie było wzruszające, ale krótkie, bo Krzysztof musiał natychmiast załatwić jakąś sprawę w mieście.

— Tatusiu! Rozgość się u mnie w kabinie — powiedział — ja niedługo wrócę, a gdybyś miał ochotę czegoś się napić, to tu jest lodówka, a w niej różne napoje.

I tu zdarzyła się tragikomiczna historia. Pan Bolesław zmęczony podróżą i upałem, skorzystawszy z zaproszenia sięgnął do lodówki i spragniony wypił duszkiem sporą porcję... wywoływacza lub utrwalacza — dziś trudno to ustalić — magazynowanego tam przez „Firmę Pstryk” obok coca-coli i innych napojów. Na szczęście nie pociągnęło to żadnych przykrych skutków, a pan Baranowski z humorem potraktował tę pomyłkę.

Ciekawostką związaną z pobytem seniora Baranowskiego

na „Pogorii” była lekcja wychowawcza prowadzona wspólnie przez ojca i syna na temat „Wyższość ustroju kapitalistycznego socjalistycznego nad ustrojem kapitalistycznym socjalistycznym (niepotrzebne skreślić)”. Senior wykazał zalety kapitalizmu nie ukrywając jego wad, junior — zupełnie na odwrót. Nie wiem, o czym w końcu chłopcy zostali przekonani, bo obowiązki żeglarskie przeszkodziły mi w wizytowaniu tej lekcji, ale sądzę, że podporządkowali się, jak zwykle, zdaniu kapitana.

Żegnając się w Male z „Pogorią”, pan Bolesław miał łzy w oczach, a ze szczególnym wzruszeniem wspominał wieczór piosenek śpiewanych w kameralnym gronie kadry, a właściwie tylko jej starszej części. Piosenek nie znanych już Kaczorom, bo kto dziś pamięta np. „Tajoj mnie nazywają” — żartobliwą śpiewkę o Lwowie, rodzinnym mieście Baranowskich.

## 15. WŚRÓD KOLOROWYCH ATOLI

Wykorzystując początkowo przychylne, a potem zmienne wiatry i silnik, żeglując na przemian w skwarze i ulewnych deszczach, dotarliśmy po trzech dniach na...

### Maledivy

To nietypowy kraj prawie dwóch tysięcy kolorowych wysp zgrupowanych w dziewiętnastu wielkich atolach. Każdy atol to ogromna bariera raf skrytych przeważnie tuż

pod powierzchnią morza i otaczających wiele wysp, z których każdą okrąża jeszcze jej własna rafa. Jeśli znajdzie się dostatecznie głębokie przejście w zewnętrznym pierścieniu rafy atolu, między jego wyspami znów można żeglować w miarę swobodnie.

Maledivy rozciągają się wąskim, około stumilowym pasem wzdłuż siedemdziesiątego trzeciego południka długości wschodniej między 8°N i 1°S. Tylko dziesięć procent wysp jest zamieszkałych w sumie przez około sto sześćdziesiąt tysięcy ciemnoskórych, czystych, sympatycznych, mających poczucie godności i uczciwych ludzi. Na czele Republiki Maledivów stoi prezydent wybierany raz na pięć lat przez parlament, składający się z czterdziestu sześciu posłów, z których trzydziestu ośmiu jest wybieranych (dwóch z każdego atolu), a ośmiu mianowanych przez prezydenta. Państwo jest doskonale zorganizowane (może dlatego, że wszystkie jego ministerstwa mieszczą się w jednym dwupiętrowym budynku). Są szkoły, rozgłośnia radiowa, stacja telewizyjna, dwa szpitale, stacja łączności satelitarnej, wyspa-lotnisko, wyspa-więzienie, wyspa-dom dziecka, wyspa-dom spokojnej starości.

W stolicy, którą jest kilkunastotysięczne, według niektórych kilkudziesięciotysięczne (w co wątpię) miasteczko Male, położone na największej wyspie atolu o tej samej nazwie, można kupić wszystko, co do życia potrzebne. Sam się zastanawiałem, czy nie kupić czajnika, bo w Polsce, gdy wypływaliśmy, były z tym trudności, ale wstyd mi się zrobiło wieść z Maledivów czajnik zamiast np. wypchanego żółwia. Celnicy w Gdyni pękliby ze śmiechu. Jeśli kogoś na to stać, może tu sobie zafundować nawet cztery żony, bo panująca religią jest islam. Jedyne kolejki, jakie tam widziałem, były po wodę, choć w zasadzie jej nie brakuje. Wodę czerpie się z nielicznych studni, ale jest ona słonawa, bo wyspy są